NUMER 5. LWÓW, DNIA 15. KWIETNIA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przysyłką wynosi:
w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal.
W Królestwie 2 ruble.
W Niemczech 2 marki.
We Francyi i w Szwajcaryi 3 franki.
W Ameryce pół dolara.

Numer pojedynczy 10 halerzy.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Milkowskiego 11.

Z życia Adama Mickiewicza.

Wieszcz narodu polskiego Adam Mickiewicz został w r. 1823 wydalony z granic Polski. Rząd rosyjski wydalił go za gorące uczucia patryotyczne, za miłość ojczyzny i za pragnienie głębokie uczynienia jej wolną i silną. Po długim procesie oddano Mickiewicza do rozporządzenia ministra oświaty, aby go „użył w szkołach gubernij oddalonych od Polski“.

Przez długich 6 lat, bo do r. 1829, pełnił Mickiewicz obowiązki profesora w szkołach rosyjskich i to kolejno w Odessie, Moskwie i Petersburgu. W tym czasie wydał pierwszy i drugi tom poezyi swoich, stworzył przepiękne „Sonety krymskie“, potężny wiersz pt. „Farys“, i wiele innych.

Nareszcie w r. 1829 uzyskał Mickiewicz pozwolenie wyjazdu za granicę. Poeta pragnął tego od dawna. Dusza jego rwała się do bliższego poznania Europy, jej cywilizacyi, krajów i miast. Mickiewicz uszczęśliwiony pozwoleniem wyjazdu zagranicę Rosyi, znalazł miłego, serdecznego i przyjemnego towarzysza podróży i przyjaciela w Odyńcu. Razem opuścili Rosyę, dzielili ze sobą wrażenia potężne, trudy i przyjemności podróży, a Odyniec barwnie opisał, co razem przeżyli w pięknych swoich „Listach z podróży“. Najpierw udali się do Niemiec, do kraju, któremu przyświecał geniusz poety Götego; zwiedzili Weimar, miasto, w którem podówczas najsilniej wrzało życie umysłowe, potem inne miasta niemieckie. Następnie udali się do Włoch, wszędzie znachodzili przyjaciół, — wszędzie przyjazne serca i dłonie. Zwiedzili wszystkie piękne i sławne miasta włoskie, oraz wyspę Sycylię.



Rycina nasza przedstawia ich na Wezuwiuszu, pełnych zachwytu patrzących z góry na wspa-

niały krajobraz roztaczający się u ich stóp. Zwiedzili głąb krateru i — jak powiada Odyniec — zapalili cygara od ziejącego tam ognia.

Poznawszy Włochy, podróżowali poeci nasi przez dwa miesiące po Szwajcaryi, gdzie przyłączył się do nich Zygmunt Krasiński. Tutaj doszła ich wiadomość o wybuchu rewolucyi listopadowej w Warszawie. Był to rok 1831. Mickiewicz podążył w stronę rodzinnego kraju. Czuł, że tam obecność jego była potrzebną, że tam stanowisko jego być powinno. Ale granice kraju pilnie były strzeżone i przedostać się przez nie nie było sposobu. Podczas gdy Mickiewicz szukał drogi do przebycia ich, powstanie upadło, Warszawa poddała się i ludzie niemogący patrzyć na kraj krwią zbroczony i unieszczęśliwiony moskiewską przemocą wyjeżdżali tłumnie na obczyznę, bo tu tylko znaleźć mogli trochę swobody. Mickiewicz z nimi pozostał na emigracyi. Udał się do Paryża i tam służył piórem uciemiężonej ojczyźnie. Podniósł poezyę polską do nieznanych dotąd wyżyn, a natchnienie czerpał w gorącej miłości narodu i ludu polskiego, w tęsknocie:

„Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem“.

Papuga.

(Dokończenie.)

Papuga jest ze wszystkich ptaków najmądrzejszą. Ludzie trzymają w Ameryce i w Australii oswojone papugi, tak jak u nas trzyma się gołębie wolno latające przy domu. Nie wszystkie papugi dają się równie dobrze uczyć. Na mądrzejsze papugi są właśnie z gatunku zwanego Jako. Te papugi do nauki najbardziej podatne. Pewien kupiec posiadał taką papugę, która znakomicie najrozmaitsze słowa i zdania mówić umiała. Odpowiadała na pewne pytania i na żądanie przynosiła panu swemu pantofle i czapeczkę. Wołała na służącą, gdy ją potrzebowano w pokoju, a gdy pana w sklepie nie było, przywoływała go ilekroć ktoś obcy do sklepu przyszedł. Papuga ta w 60 roku życia poczęła tracić pamięć, mięszała zdania i starzała się mocno.

Inna papuga tego gatunku nietylko, że spełniała wszystkie rozkazy i trafnie odpowiadała na pytania, ale wołała wszystkich w domu po imieniu, śpiewała i gwizdała wyśmienicie. Mówiła „dzień dobry“ tylko we dnie, a „dobry wieczór“ tylko wieczorem i powtarzała bardzo dużo zdań. Naśladowała głos kukułki, prosiła o jedzenie, gdy była głodna, skarżyła się na ból głowy, gdy była chora i t. d.

Pewni państwo trzymali też papugę Jako wolną, nie w klatce. Przed domem ich, w ogrodzie było gniazdo zięby. Państwo ci lubili ptaki, wynosili pokarm ziębom i troskliwie obchodzili się z pisklętami w gniazdku. Papuga spostrzegłszy to, poczęła też ziębom ze swego jedzenia wynosić. Stare zięby zobaczyły ogromnego, nieznanego ptaka, przeraziły się go i uciekły z gniazda na zawsze, zostawiwszy w niem swoje pisklęta. Papuga odtąd zajęła się tak troskliwie ziębiętami, że nie tylko wykarmiła je, ale nie chciała na noc wracać do klatki, tylko zostawała na dworze, czuwając przy pisklętach. Gdy te dorosły nieco, stawały jej na głowie, na plecach, a ona je obnosiła z dumą i ostrożnie.

Wiele jest jeszcze podobnych opowiadań o papudze Jako w niewoli. Wogóle więcej wiemy o jej życiu w niewoli niż na wolności, bo są to ptaki tak mądre i przebiegłe, że trudno przyrodnikom zbadać ich życie w lasach podzwrotnikowych. Życiu innych gatunków papug łatwiej się było przypatrzyć.

Przy odkryciu Ameryki przez flotę Kolumba, zasłużyły się papugi nie mało. Sterowano bowiem w innym kierunku, ale pewien towarzysz Kolumba tak prosił i nalegał, by zmieniono kierunek jazdy, że go usłuchano. Nalegał dlatego, bo widział ogromne stado nieznanych sobie, przecudnych ptaków, lecących we wskazanym przez siebie kierunku, więc przypuszczał, że tam będzie ląd i las. Rzeczywiście wylądowano na wybrzeżach wysp amerykańskich, a dziwne ptaki były papugami.

Papugi żyją bardzo długo. W niewoli papuga przetrwa rodzinę, wśród której się wychowała. W Ameryce istnieje podanie, że papuga przeżyła naród cały. W Maypures żyje w niewoli papuga, mówiąca zupełnie niezrozumiałym dla krajowców językiem. Ludzie twierdzą, że jest to język zaginionego zupełnie szczepu Aturów, wśród których się papuga w młodości swojej chowała“.

Dzieci z ogromnem zdziwieniem przysłuchiwały się opowiadaniu pana nauczyciela i od czasu do czasu patrzyły zdumione na papugę w klatce.

— Pewnie i ona będzie taka zdolna i mądra jak tamte papugi — rzekł pan nauczyciel — postaramy się, żeby się dobrze wśród nas czuła i nas polubiła.

Do „Promyka“.

Jugusi Śnieżkównej, posłaliśmy kilka numerów „Promyka“ w zamian za wierszyk o „Smutnem słonku“. Jagusia tak się ucieszyła nowem pisemkiem, że napisała wierszyk do „Promyka“ pokazała go swojej nauczycielce, a ta dobra pani nam go przysłała. Oto nowy wierszyk Jagusi witający nasz „Promyk“ :

„Promyku“ ty złoty!
„Promyku“ kochany!
O żebyś ty wiedział,
Jakżeś wyglądany.

Wyglądamy Ciebie,
Jako miłych gości,
O bo też nam sprawiasz
Niemało radości!

Toż wszystko to piękne,
Co się w Tobie mieści,
I różne wierszyki,
I śliczne powieści.

Toż zaglądaj do nas,
„Promyku" nasz drogi,
O często, a często
W nasze biedne progi.

Kraina lodów.

Płynie modra Wisła w dalekie kraje, do dalekiego morza — płynie, płynie — zda się, że ani początku ani końca wód jej nie ma. Płynie latami, a wody jej nigdy nie zbraknie.

znowu paruje — częścią wsiąka w ziemię, sączy się kroplami przez piaski i żwiry, aż głęboko, głęboko pod ziemią w żyły wodne się zbiera.

Cicho płyną podziemne te wody, a gdy na szczelinę jaką natrafią — wylewają się na wierzch, tryskają źródłami i płyną dalej strumieniem. Strumyki rosną, wzbierają, tworzą rzeczułki i rzeki — i w rzekach wpadają do morza.

Ogromna ilość wody na ziemi znajduje się nie w płynnym stanie i nie w lotnym jako para, ale w postaci śniegów, które nigdy nie topnieją, w postaci lodów, które nie pryskają nigdy. Takie olbrzymie przestrzenie, pokryte morzem śniegów i lodów, widzimy w zimnych, podbiegunowych krajach, na obu półkulach naszej ziemi. Wszystko tam zamarza — im bardziej posuwamy się w głąb tych krajów, tem bardziej pusto, tem mniej życia — bo jakaż roślina, jakie zwierzę wytrzymać by mogło w tych stronach?

Krain tych nie znamy prawie — zdarzali się wprawdzie podróżnicy, ludzie śmiali i odważni, którzy nie zlękli się trudów podróży i podjęli się zwiedzenia tych okolic. Ale tak Nansen, o którym



WIDOK MORZA PODBIEGUNOWEGO.

Nie Wisła jedyna na ziemi. Miliony rzek bez ustanku w dal idzie, do morza wpada — a wody starczy wiecznie!

Skąd się bierze to bogactwo wody? Ze źródła! Skąd źródła? Z deszczu! Skąd deszcz? Z pary! Skąd para? Z rzek, stawów i morza!

Widzimy, że droga wody na ziemi zamkniętą jest w sobie. Z pęcherzyka pary powstaje, lekką mgłą unosi się wysoko i tworzy chmurki-baranki, które w pogodny, słoneczny dzień pędzą po niebie, gnane wiatrem. Chmurki zbierają się w chmury — a gdy para skrapla się w wodę, spada na ziemię deszczem, śniegiem lub gradem, osiada rosą lub szronem na trawie i drzewach. Częścią

słyszeliście zapewne, jak i inni uczeni — nie wiele widzieć mogli. Lodowe kry uwięziły ich okręty, tak, że przez długie miesiące nie mogły się ruszyć z miejsca, a brak środków żywnośc nie dozwolił im pozostać zbyt długo w tych lo dowych stronach.

Bezmiar śniegów i lodów spotykamy też wśród wysokich gór. Na skalistych szczytach wznoszą się niekiedy niebotyczne lodowce i śnieżne pola. Wzrastają one ciągle, zasilane nowymi opa dami śniegu — a dołem, topią się miejscami, two rząc strumyki rwącej, zimnej, górskiej wody.

Nieraz na wyżynach, wśród wąwozów roz pościerają się lodowce. Długim, białym wężem

wypełniają całą przestrzeń między dwoma ścianami skał. Nacierają o te ściany, jak gdyby im miejsca wśród nich zabrakło, a skały pękają, kruszą się i padają na twardą opokę lodową.

Najwięcej kamieni takich, pokruszonych odłamków skał — znajduje się po obu brzegach lodowców. Tworzą one gęsty wał, zwany m o r e n ą.

Niekiedy padają też odosobnione, duże bryły skaliste na środek lodowca. Gdy w lecie, ciepłe promienie słońca ogrzewają górną warstwę lodu i topią ją po części, a woda z lodowca rwącym strumieniem odpływa, lodowiec maleje, staje się płytszym. Tylko na miejscach, gdzie leżą owe odłamki skał, lodowiec stopić się nie może! Tam bryły kamienne osłaniają go cieniem swoim przed promieniami słońca. Na tych miejscach pozostaje więc lodowiec w dawnej swej wysokości — i wtedy oglądać możemy rzecz przedziwnie niezwykłą.

Oto na polu lodowem sterczą olbrzymie skaliste stoły, wzniesione na lodowych kolumnach, jak to widzicie na naszej rycinie. Kamienna płyta pochyla się nieco w południową stronę — bo tu słońce bardziej grzeje, więc południowa strona kolumny stapia się mocniej od północnej.



STOŁY LODOWCA.

Stoły te posuwają się wolno, niepostrzeżenie prawie. Ta czerwona bryła spadła z owej samotnej skały. Z początku też leżała naprzeciw niej — ale w ciągu kilkudziesięciu lat oddaliła się od niej o kilkanaście kroków.

Czy stoły te chodzą po lodzie? Nie! O n e p o s u w a j ą s i ę r a z e m z l o d e m. Bo lodowiec stacza się powoli z wyżyn w doliny. Długie wieki mijają, zanim lodowiec wprzód się posunie. Gdy zejdzie w niziny — topi się, znika i jako ślad dawnego swego istnienia, pozostawia tylko nagromadzoną przez siebie m o r e n ę, kamienie rozmaitej wielkości i odłamki skał.

Zanosi on nieraz te skaliste bryły daleko od gór rodzinnych, a ludzie, którzy nic nie wiedzą o lodowcach, dziwią się zapewne, skąd się biorą te najrozmaitsze kamienie, kiedy w okolicy skał, podobnych nie widać wcale. N. p. w Galicyi, widać nieraz ogromne bloki kamienne, do żadnych skał krajowych wcale nie podobne.

Uczeni porównywali te kamienie do najrozmaitszych skał Europy i przekonali się, że nie pochodzą one ani z Karpat, ani z Tatr, ani z Alp nawet — ale aż hen ze Skandynawii, z odległego półwyspu Europy!

Skąd się skandynawskie skały do nas biorą?

W dawnych, przedhistorycznych wiekach była cała Europa prawie pokryta lodem. Jeden olbrzymi lodowiec rozpościerał się od bieguna północnego aż po Alpy i Karpaty. Lodowiec posuwał się z północy na południe i topił się w ciepłych krajach — a z olbrzymią siłą porywał kamienie i skały i unosił je w dal.

Tak to się skały skandynawskie do nas dostały. *E. B. L.*

OBDARTUS.

(Z niemieckiego.)

Było to u jednego z najbogatszych bankierów Nowojorskich. Po obiedzie, goście i gospodarz, razem dziewięciu panów, paliło cygara.

Gospodarz, pan Webster, był rodem z Berlina, w Nowym Yorku osiadłszy umiał dorobić się ogromnego majątku, a imię jego było otoczone powszechnym szacunkiem. Starał się też Webster o to. Posiadał — jak — mówią otwartą dłoń chętnie i dużo dawał pieniędzy na publiczne cele. Gospodarz i gości jego byli to sami bogacze znani w całem mieście. Między innymi mówili właśnie o okropnem nieszczęściu w dolinie Connemaugh, (Konemof) o tysiącach ludzi którzy utonęli, o tysiącach uszkodzonych, i o smutnym losie ich rodzin mieszkających w Johnstown.

Każdy z obecnych panów miał to głębokie przeświadczenie, że wedle sił swoich i możności przyczynił się do ulżenia straszliwej nędzy. Gospodarz tylko nie brał udziału w rozmowie i dopiero zagadnięty odpowiedział, że mimo najlepszych starań nie może obliczyć ile właściwie dać powinien, by spełnić swój obowiązek. „Dałem tyle, że kilkanaście rodzin wyżyć z tego może przez kilka miesięcy — ale czy tem samem mój obowiązek spełniony? Posłuchajcie, a dowiecie się skąd się biorą u mnie te wątpliwości.

Na listę składkową wpisałem w biurze 1000 dolarów i zadowolony ze swej szczodrobliwości wracałem do domu. W drodze byłem świadkiem dziwnego zajścia. Na rogu ulicy stał stolik z wazką szklaną, taką jaką używają na basen dla złotych rybek, a przy stoliku na długiej żerdzi widniała tablica. „Datki na ofiary z Johnstown“. Pilnował tego woźny miejski, zaopatrzony w złoconą i ozdobną buławę. Myśl zbierania w ten sposób była widocznie dobra, bo wazka, już w chwili gdy przyszedłem, napełniona była w jednej trzeciej części miedzianą, srebrną, złotą i papierową monetą.

Zbliżyłem się do stolika z urną. Równocześnie ze mną przystąpił człowiek o zaiste stra

sznym wyglądzie, prawdziwy drab, obdartus, ulicznik jakby z obrazu zdjęty, w rozpiętych łachmanach, bez koszuli, brudny, rozczochrany. Miał na nogach coś w rodzaju obuwia, więcej tam jednak było dziur niż skóry. Bił od niego zapach brudu i bodaj czy nie wódki. Cóż tego ulicznika mogła obchodzić składka na biednych, — biedniejszymi od niego chyba nie byli! A jednak stał jak wryty przed tablicą, z oczyma wlepionymi w wypisany na niej napis i sylabizował go powoli i półgłosem, jak to czynią zwyczajnie ludzie, którym czytanie wiele trudu sprawia. W ciągu czytania spojrzał kilka razy ukradkiem na wazę i leżące w niej pieniądze.

Nareszcie drab skończył czytać, włożył ręce do kieszeni i odchodził zwolna, przystając co chwila. Czasem nawet odwracał głowę i znowu ukradkiem patrzył na pieniądze złożone w wazie. Tak doszedł do rogu ulicy. Znowu przystanął przed sklepem z bielizną i uporczywie wpatrywał się w wystawę sklepową. Odwróciłem od niego uwagę na chwilę, wrzuciłem pięć dolarów do wazki i spytałem woźnego: „ha! cóż będzie z tym drabem?“

— Nie dużo sobie z niego robię. Kto tylko ośmieli się naruszyć pieniądze, temu bez namysłu łeb pałką rozwalę. — Mówiąc to podniósł buławę nieco wyżej.

Drab tymczasem gorączkowo przeszukiwał kieszenie swoje, szukał widocznie noża lub rewolweru, by módz dać radę woźnemu uzbrojonemu w pałkę. — I to dziać się może w stolicy kraju, wśród jasnego dnia, na najbardziej uczęszczanej ulicy! Okropność — pomyślałem sobie. Obdartus wyciągnął z kieszeni najpierw ołówek z odłamanym końcem, a może była to rączka do pióra, potem trzy czy cztery guziki najrozmaitszej wielkości. Popatrzył na nie uważnie, pokręcił głową i przełożył je do lewej ręki. Potem szukał ciągle dalej i niecierpliwił się jak człowiek, który wie, że tam jeszcze coś być powinno, czego znaleść nie może. Oho! już znalazł to, czego szukał i dziwnie przebiegły uśmiech okazał się na wynędzniałej i brzydkiej jego twarzy. Nie mogłem dostrzedz co wyciągnął z kieszeni, ale chyba groźną bronią być to nie mogło. Potem idąc tuż przy murze kamienicznym skierował kroki swoje ku wazie. Woźny spojrzał na mnie wzrokiem, który zdawał się mówić: „będzie tu zaraz pałka w robocie“.

Nędzarz mijając dom za domem przysuwał się coraz bliżej do miejsca składek. Już przystąpił, przystanął, szerokim gestem rękę podniósł, potem ją nachylił ku wazie, potem znowu podniósł i dwa palce salutując przyłożył do czapki. Woźny odpowiedział ukłonem, a drab uciekł na swoich długich, czaplich nogach tak, jakby go conajmniej dwudziestu ludzi goniło. Podszedłem natychmiast oburzony do woźnego i nabrałem go z góry: „Dobra to straż taka, która pozwala wykradać pieniądze nędzarzy i kłania się jeszcze nicponiom!“

— Może człowiek ten jest nicponiem panie — odrzekł woźny — biedakiem jest z pewnością, ale cóż mam zrobić, gdy przystępuje i wrzuca piątaka mówiąc: „przepraszam... ale jest to ostatni mój piątak“....

Od tego czasu łamię sobie głowę nad tem, ile właściwie każdy z nas dać powinien, dla poratowania bliźnich w nieszczęściu.

Z dziecinnych lat Antoniego Kanowy.

Antoni Kanowa, słynny włoski rzeźbiarz, urodził się w r. 1757 w małej wiosce weneckiej, będącej własnością senatora Falieri.

Pewnego dnia dał senator wspaniałą ucztę. Ku największemu zdziwieniu tak gospodarza, jak i gości podano wśród wielu misternie przyozdobionych potraw także istne dzieło sztuki — lwa wyrzeźbionego w maśle. Lew ten obudził takie zdumienie i wywołał tak ogólny podziw wśród zebranych, że senator kazał przywołać do stołu kucharza swojego, aby mu w obecności gości módz wyrazić uznanie za podobne dzieło. Kucharz wszedł, a gdy go ze wszech stron obrzucono słowami podziwu, łzy stanęły mu w oczach.

— Płaczesz z radości? — przemówił do niego senator.

— Nie Panie — odrzekł — to z żalu, że ja nie stworzyłem rzeczy, którą wszyscy tak się zachwycają.

— Chcielibyśmy poznać artystę — powiedział Falieri.

Kucharz przyobiecał, że uczyni zadość jego życzeniu i odszedł. Po chwili wrócił, prowadząc małe dziesięcioletnie wiejskie chłopię...

Był to synek ubogiego wieśniaka, Antoni Kanowa. Rodzice jego, jakkolwiek bardzo ubodzy, nie odmówili gorącemu życzeniu dziecka i przyjęli mu nauczyciela, który za małem wynagrodzeniem uczył go rzeźbić. Chłopak od najmłodszych lat okazywał niepospolity talent do rzeźbiarstwa. modelował w glinie, gdy jej tylko dopadł, a na każdym kawałku drzewa, który dostał w ręce, wycinał nożykiem najrozmaitsze figurki. Kucharz senatora był dobrym znajomym rodziców chłopaka. W dzień wielkiej u magnata uczty zaszedł do ich chaty. Wśród rozmowy żalił się przed nimi, że mimo wszelkich wysiłków nie może zdobyć się na wymyślenie takiego dania, któreby na niego zwróciło uwagę powszechną i wyrobiło mu sławę niedoścignionego kucharza.

Mały Antoś słuchał tego opowiadania, zamyślił się na chwilę i rzekł: „Już wiem, dopomogę ci w wystawnem ozdobieniu stołu — zrobię coś ładnego. Przyjdę do ciebie za chwilę — zobaczysz.“ Rzeczywiście niedługo potem przyszedł chłopczyna do kuchni pałacu i przedłożył kucharzowi rysunek lwa, którego przyrzekł tak sa-

mo wyrzeźbić w maśle. Kucharz zgodził się, dał mu kawał masła, a Antoś zabrał się do obrabiania go z zręcznością, z jaką później obrabiał marmury.

Widok artysty zdziwił gości senatora nie mniej od dzieła samego. Falieri zajął się jego losem, oddał go na naukę do najpierwszych rzeźbiarzy onego czasu, a w dwa lata później, dwunastoletni Kanowa posłał senatorowi w darze dwa marmurowe rzeźbione kosze na owoce, które dziś jeszcze ozdabiają pałac Falierich w Wenecyi.

Dzieła Antoniego Kanowy znajdują się prawie w każdej stolicy europejskiej na wystawach sztuk pięknych i w muzeach. Umarł on w roku 1823 jako sławny, ceniony i powszechnym szacunkiem otoczony artysta.

Od Redakcyi.

Dziękujemy bardzo Czytelnikom, którzy nadesłali nam adresy znajomych swoich. — Do wszystkich „Promyk" już wysłany.

O japońskie teatrzyki staraliśmy się usilnie, nie można ich jednak było dostać, gdyż z powodu wojny komunikacya z Japonią jest utrudniona. Dla tych abonentów, którzy teatrzyków nie dostali, dołączymy do przyszłego numeru baloniki japońskie.

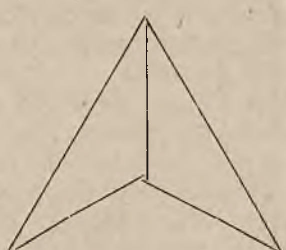
Zwracamy uwagę Czytelników naszych na to, że umieszczać będziemy także szarady, zagadki i łamigłówki nadesłane przez Czytelników, o ile będą dobre. Zagadki posyłać należy wraz z rozwiązaniem do redakcyi „Promyka" ul. Miłkowskiego 11.

Jako nagrodę za zagadki umieszczone w tym numerze przeznaczamy dwie rakiety i piłeczkę.

Rozwiązanie zagadek.

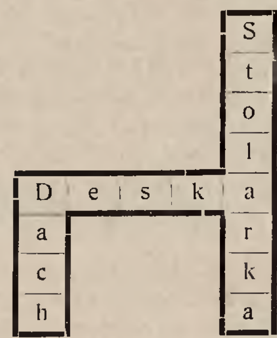
W Nrze 4-tym „Promyka" przez pomyłkę nie podano rozwiązania zagadek z Nru 3-go. Podajemy je więc poniżej:

ZAGADKA GEOMETRYCZNA.



Ponieważ wszystkie zapałki są równej długości, figura z nich ułożona nie mieści się na jednej płaszczyźnie, ale tworzy bryłę w przestrzeni.

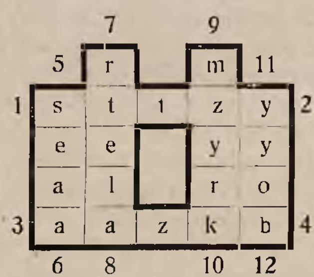
ZAGADKA LITEROWA.



Najlepsze rozwiązanie zadania rysunkowego z Nru 4-go „Promyka" nadesłał Iwaś K. z Czachrowa. Iwaś ślicznie odrysował konika naszego wraz z przedniemi nogami, a prócz tego posłał nam bardzo piękny szkic pieska. Ponieważ Iwaś żyje na wsi i nie ma przyborów rysunkowych, posłaliśmy mu takowe, bo ucieszy go to pewno bardziej od japońskiej książeczki. Japońską książeczkę posyłamy Stasiowi S. z Przemyśla, który po Iwasiu najstaranniej konia odrysował.

Prócz tego nadesłali nam rysunki Józef P. z Czudca, A. G. z Tarnopola, Leon M. ze Stanisławowa, Hermina S. ze Lwowa, Zofia R. z Krakowa i Leontyna B.

Zagadka geograficzna.



1—2 mocarstwo w Europie.
3—4 wyspa.
5—6 starodawne miasto.
7—8 półwysep.
9—10 kraj górzysty.
11—12 część świata.

Łamigłówka.

Jaki jest najdroższy węgiel?

Odpowiedzi od Redakcyi.

Leonowi M. w Stanisławowie. Dziękujemy Leosiowi za miły list i chętnie przeczytamy bajeczki Leosia.

Kącik dla małych dzieci.



Zapałka.

Na stole leżało pudełko zapałek. Było na pół otwarte i jedna zapałka wystawiała zeń główkę. Mamusia szyła, a Staś i Marylka odrabiali zadanie.

— Tak mi zimno! — powiedziała Marylka.

— To pobiegnij trochę po pokoju — odrzekła mamusia.

Dziewczynka usłuchała i po chwili zaróżowiona i rozgrzana usiadła znowu przy stole.

Dziwna rzecz, że Marylka rozgrzała się, biegając po pokoju.

— Strasznie mi zimno w ręce — powiedział Staś i począł trzeć jedną rączkę o drugą.

Marylka rozgrzała się, bo się ruszała biegając. Staś rozgrzał rączki, bo niemi szybko poruszał.

Wtem przyszedł tatuś do pokoju i chciał zapalić sobie papierosa.

Wziął zapałkę — ale omylił się i zamiast główką, począł mocno trzeć patyczkiem o pudełko.

Zapałka rozgrzała się trochę, ale nie dość, by się mogła zapalić.

Tatuś spostrzegł pomyłkę i choć raz tylko, niezbyt silnie, potarł główką zapałki o pudełko — główka rozgrzała się przez to potarcie tak mocno, że buchnęła płomieniem!

O! bo główka zapałki rozgrzewa się znacznie łatwiej od patyczka. *B.*

Jak się Wisia bawiła.

Tatuś Wisi jest kupcem i sprzedaje w swoim sklepiku książki szkolne dla małych dzieci, czarne i kolorowe ołówki, papier do pisania i do rysowania, przeróżne obrazki i różnobarwne bibułki.

Czasem przynosi tatuś Wisi mały podarek ze swojego sklepiku: obrazek, sznurek lub kolorowe bibułki, żółtą jak jaskry, czerwoną jak maki i niebieską jakby bławatki. Wisia bardzo lubi wycinać przeróżne rzeczy z tych bibułek. Mamusia pozwala jej na to, bo ma tępe nożyczki o zaokrąglonych końcach, więc się niemi skaleczyć ani ukłuć nie można.

Wisia bardzo lubi zabawę kolorowymi bibułkami. Gdy na szybie do światła położy żółtą bibułkę na czerwonej, zdaje jej się, że to pomarańczowa bibułka, a gdy przyłoży niebieską do czerwonej wygląda to zupełnie fioletowo. Wisia układa tak jedną bibułkę na drugiej i zgaduje jaki teraz będzie kolor.

Wczorajsze wycinanki Wisi były prześliczne. Z żółtej bibułki wycięła stół, a z niebieskiej obrus, przyłożyła ten papierowy stół do szyby, po tem nakryła go papierowym obrusem i przytwierdziła wszystko razem paskami gumowanego papieru.

Dziwne, dziwne! Stolik wydawał się zielony jak trawa!

Gdy Wisia to zobaczyła przyszło jej na myśl, że ładnie by wyglądały roślinki powycinane z niebieskiej bibułki i miejscami przykryte żółtą bibułką. Żółte z niebieskim utworzą zielone listki i łodyżki, a kwiatki nie nakryte będą niebieskie. Kwiatki te rosną niby w pokoju, więc

Wisia wycięła jeszcze wazonik z czerwonej bibułki i okoliła go obręczą.

Wisia wiedziała dobrze, że gdy ułoży niebieską obręcz na czerwonem tle wyda się ona liliowa, jak kwiatki bzu.

Wisia wycięła jeszcze żółte łóżeczko, przyłożyła je do szyby i przykryła czerwoną kapką! Czerwona kapka na żółtem łóżeczku wydawała się do światła pomarańczową.

— Tatusiu, tatusiu popatrz! — zawołała uradowana Wisia.

Tatuś dziwił się i ucieszył, że córeczka jego wycina tak ładnie i tak starannie i obiecał wyciąć jej coś ślicznego. Tatuś wziął nożyczki do ręki i z każdej bibułki wyciął łuk.

— Co z tego będzie? co z tego będzie? — pytała ciekawie dziewczynka.

Tatuś przytwierdził do szyby czerwony łuk, potem żółty, tak, aby trochę na czerwony zachodził, potem niebieski.

— Tęcza, śliczna tęcza, — zawołała Wisia — taka sama jak w lecie po deszczu na niebie!

Podziękowała tatusiowi za wycinankę i pobiegła po swoją laleczkę Franię.

Frania jest bardzo grzeczną lalką, tylko wydarzyło się jej niedawno coś, co się nawet lalkom wydarzyć nie powinno: zgubiła buciczek na przechadzce. Mamusia widząc, że Wisia tak ładnie wycina, poradziła jej, aby wycięła na wzór papierowy buciczek dla lalki. Wedle tego wzoru uszyła mamusia buciczek ze sukna.

Gniazdko.

Popatrzcie, dzieciny,
Na ten domek mały,
Co go wśród leszczyny
Ptaszki zbudowały.

Jak gwiazdka na niebie,
Ma w górze siedlisko,
A wietrzyk kolebie,
Tą ptaszków kołyską.

Troskliwa o dzieci,
Ptaszynek mateczka,
Co chwila przyleci,
Zajrzy do gniazdeczka;

I w dzióbku przyniesie,
Dla małej gromady,
Zbierane po lesie,
Muszki i owady.

I nakarmia sama,
Swą dziatwę kochaną,
Jak ciebie twa mama,
Wieczorem i rano.

Uczy je tysiące,
Cudownych tych pieśni,
Co w lato gorące,
Pieją ptacy leśni.

Uczy je po jasnym,
Szybować błękicie,
I tak dzióbkiem własnym,
Zarabiać na życie.

Nie tępcie dzieciny,
Gniazd, co ptaszki mają:
Niech wolne ptaszyny,
Swobodnie bujają!

Niech piosnką wesołą,
Wciąż krzepią nas w trudzie:
Niech głoszą wokoło,
Że dobrzy są ludzie!

Kto psotne ma ręce
I tyle złych chęci,
Że gniazdko ptaszęce
Podbierze, wykręci! —

Kto ptaszkom swobodnym,
Ich szczęścia zazdrości:
Ten sam jest niegodnym,
Najmniejszej litości.

O! spojrzcie, chłopięta,
Na gniazdko zburzone:
Na owe pisklęta,
Na ziemię strącone...

Wspomnijcie, okrutni,
Na matki ich męki,
Co rwą się najsmutniej,
Z jej piersi maleńkiej...

I chociaż w tej chwili,
Uznajcie swą winę:
Że wyście zabili,
Jej szczęście jedyne!

Władysław Bełza.

Wydawc. i odpow. redaktorka: **Jadwiga Czajkowska.** Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Lindego l. 8.